

W największej rozpaczycie zawsze jest coś,  
co może cię ocalić...

AGNIESZKA  
SZYMASZEK

OD  
MURANIA  
MGŁA



LIRA  
WYDAWNICTWO

OD  
MURANIA  
MGLA



AGNIESZKA  
SZYMASZEK

OD  
MURANIA  
MGŁA

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-73-0

*Opowieść inspirowana  
prawdziwymi wydarzeniami*





## ROZDZIAŁ 1

# *Schronisko*

Ubiegły wieczór był... Ojej. Pracy miałam po pachy. Ale od początku. Gdy już tłum w schronisku się przewalił i turyści zeszyły na dół, do jadalni weszli oni. Tacy młodzi, tacy ładni. Jakby z innego świata. Lubię słuchać, co mówią, jak noszę im jedzenie. Choć po prawdzie to oni dużo nie jedzą ani nawet nie piją. Siedzą cały wieczór przy herbacie, czasem przy winie. Jak jedzą, to tanio. Sami sobie gotują. Chyba biedni są jak myszy kościelne! Ubrani nie po naszemu: w marynarki, spodnie z sukna, trzewiki

skórzane, kaszkiety. Chudzi, ale nie chuchra. Gadają dużo i tylko o wspinaczce! I myślą, że ja nie wiem, o co chodzi. Bo i skąd mają wiedzieć, że ja wszystkie ściany wokół Morskiego Oka mam przewspiniwane? Że i na Mnichu byłam, i na Żabiej Lalce, i na Żabim Koniu też? I na dwudziestu innych drogach. I to nie tylko z lepszymi ode mnie kolegami, tylko z równymi mi koleżankami, z Zosią albo Krysią. Mamy tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy rok! To nie średniowiecze, kiedy kobiety nic nie mogły! Wielu taterników pewnie bym w kozi róg zapędziła, gdyby nam przyszło razem związać się liną. Zdziwiliby się!

Wśród nich był on. Inny niż reszta. Nie taki głośny. Niby z nimi, a jednak obok. Szczupły, błądy, ciemnowłosy, zamyślony. I jakby mnie wzrokiem łowił. Oczu nie odwracał i ja też nie odwracałam, jeśli tylko mogłam, żeby talerzy nie porozbijać! Uśmiechał się do mnie, jak tylko złapał mnie tym swoim spojrzeniem. No co ja zrobię, że tak mi się spodobał! Goniłam między stołami, wśród turystów, co to na noc zostali, zamiatałam tylko spódnicą po całej jadalni, tak się spieszyłam. No i nagle jeden z tych późnych turystów, co to za dużo wypili, złapał mnie za warkocz, aż zabolalo. I nagle on przy mnie się znalazł i mówi do tego typu:

— Proszę panią przeprosić i więcej tego nie robić. Chyba że chce pan, bym pana chwycił za włosy.

Ten podpity, czerwony cały, przeprosił mnie, a ja mojemu wybawcy tylko spojrzenie rzuciłam, „dziękuję” szepnęłam, uśmiechnęłam się i poleciałam do kuchni. Ale aż mi gorąc na twarz buchnął. Ma niebieskie oczy. Z bliska zobaczyłam.

A potem, gdy jadalnia już opustoszała, podszedł do kuchni, gdzie zmywałyśmy naczynia, i powiedział dobranoc. A ja mu na to jakoś tak odważnie:

— A gdzie to pan jutro idzie się wspinać?

Do Doliny Ciężkiej szedł, na Ganek.

— Pani wie, gdzie to?

Ale się zdziwił, jak mu i powiedziałam, że wiem, i że na Ganku byłam, co prawda, nie ścianą, ale z Rumanowego granią! Tylko patrzył na mnie, słowa nie rzekł. Dopiero za chwilę:

— Przepraszam, nie przedstawiłem się. Orliński. Paweł. — I jakby nie chciał kończyć rozmowy.

Ale dziewczyny zaczęły się chichrać i szturchać łokciami jedna z drugą. Spłoszyły go.

Na drugi dzień po robocie jeszcze wyskoczyłam na Wrota. Po deszczu Mnichowe Stawki wypełniły się turkusową wodą. Ale zimna była! Sierpień jak się patrzy! Jak leciałam w dół, to na Łysej Polanie znów

go spotkałam. Wzrokiem mnie złapał i nie puścił. Zapytał, kiedy będę znowu w schronisku.

— No przecie co tydzień pomagam aż do końca września — powiedziałam.

— To niedługo się zobaczymy — odrzekł mi na pożegnanie.

Patrzyłam, jak odchodził z płóciennym plecakiem i liną konopną zwiniętą i przełożoną przez ramię. Jakoś smutno mi się zrobiło. Jakby lato minęło.



## ROZDZIAŁ 2

### *Parwet*

To nie może być prawda. Tak mówi mi rozsądek. Ale ten kwiat, co mi go dał na pożegnanie, mówi: „Prawda to, prawda!”. Miłosna. Znów mi ołówek za szybko w rękach leci! Pomału, ołóweczku, pomału. Od początku...

Od świtu znów na nogach byliśmy. Najpierw w kuchni, trzeba było napiec szarlotek na cały dzień, nagotować zupy pomidorowej, naleśników nasmażyć. Potem gonienie po jadalni, zbieranie talerzy, bo nie wszyscy sami odnoszą, jakby to

restauracja była, a nie schronisko! Do samego popołudnia czas zleciał szybko. Od czwartej na drzwi za każdym razem jakoś zaczęłam spoglądać. Ze wspinaczek już pierwsi wracali. Wyglądałam jego twarzy, sylwetki. I wszedł. Jakbym go myślami przywołała. Od razu mnie złowił spojrzeniem, a ja stanęłam jak wmurowana na środku przeszklonej werandy ze stertą talerzy w dłoniach. Ukłonił się, ale nie podszedł. Pewnie nie chciał przeszkadzać. Usiadł przy stole. Siedział tak dwie godziny i patrzył, jak się krzątam. Czekał. Dopiero na wieczór, jak zbierałam ostatnie talerze z sąsiedniego stołu, wstał, podszedł i grzecznie zapytał, czy mam kiedyś wolny dzień.

— Jutro — odpowiedziałam.

No i nie wiem, jak to się stało, że zaproponował, byśmy gdzieś wyżej razem poszli.

Zostałam w schronisku na noc, tylko Marysię poprosiłam, żeby w domu mnie usprawiedliwiła. W poniedziałek tutaj roboty dla mnie nie ma, ale w domu zawsze jest. Jednak całe lato ciężko pracowałam, a w domu wiedzą, że czasem po prostu muszę w Tatry uciec. Przewietrzyć głowę. Ale tym razem nie o wietrzenie głowy szło... No więc poszliśmy skoro świt. Na Żabie, a potem granią. Sama

nie wiem, kiedy dzień zleciał. Dużo nie mówiliśmy. Raczej chłoniliśmy Tatry, siebie i tę wspinaczkę. Paweł studia kończy, inżynierem będzie. Zostaje tu jeszcze na miesiąc, a potem na uczelnię wracać musi.

Na koniec w rękę pocałował. I kazał obiecać, że za tydzień znów się spotkamy.

I tak się stało. Tylko trzy dni w Tatrach spędziliśmy, ale one ważne są jakby trzy lata. Ostry, Lodowy, Pośrednia Grań, Łomnica, Bradavica, Gerlach. Szczyty tańczą wokół mnie. Słońce grzeje twarz. Pnę się w górę bez zadyszki. Granit jest ciepły, chropowaty. Miłosne ostatnie żegnam po drodze. I lato żegnam. I Pawła. Do Warszawy na studia wracać musi. Zostawił mi te kwiaty, te drogi skalne, które razem przeszliśmy. Zostało mi wspomnienie ramion jego, mocnych i czułych, głosu spokojnego, uśmiechu. Pierścionek zostawił. Z kamieniem mieniącym się różem i fioletem. To ametyst. W kolorze miłosnej górskiej.

Zimą się zobaczymy. Na święta. A wiosną ślub weźmiemy. Jak Paweł studia za rok w czerwcu skończy, zamieszkamy w nowym domu na Antałówce, co to go tatuś wybudował w ostatnich latach. Paweł od wiosny pomagać będzie w jego kończeniu

i pieniądze na dokończenie budowy chce dać. Żeby nie było, że na gotowe do góralskiej rodziny przyszedł. Razem dom będziemy urządzać. Ej, szczyty wy moje!



### ROZDZIAŁ 3

## *Ślub*

Paweł z tatusiem przez cały maj kończyli budowę. Widzę, że to ich zbliżyło. Lubiłam im przynosić obiad i patrzeć, jak jedzą w milczeniu. Obydwaj robotni są. Nie mówią za dużo. Nie lubię tylko, jak tatuś po dachu chodzi. Paweł chce go w tym wyręczyć, a kończy się tak, że obydwoje tam chodzą i pracują wspólnie. Gonty kładą. Jak się uda, to pod koniec lata się wprowadzimy.

Bo na palcu mam nie tylko ametyst, ale i obrączkę.

Dzień naszego ślubu był przejrzysty taki i słoneczny, nie było nawet chmurki na niebie. Cała wiosna trzydziestego dziewiątego roku, cudownego roku, taka jest!

Paweł do ślubu szedł w garniturze, ale ja po góralsku byłam. Od świtu się szykowałam. Róża pomogła mi ze wszystkim. Koszulę białą, cienką założyłam, a gorset gruby, biały, haftowany w kwiaty złotą i różową nicią. Spódnicę Róża też białą naszykowała, sięgającą do pół łydki. Na koniec białą jedwabną wstęgą związała mi ciasno gorset. Warkocz w koronę zaplotła. Na szyi zapięła korale po babci, z tyłu zebrane miedzianą spinką. Kierpce czarne, nowe, związałam rzemieniami wokół łydek. Pawła zamurowało, jak mnie zobaczył. Nigdy wcześniej po góralsku mnie nie widział. Pytace konno przyjechali. Ale ślub był skromny, poważny, raczej taki cichy. A potem wesele, że hej. Byli nasi i goście od Pawła, z Krakowa. Rodzice jego tacy wytworni. No i cała kompania taternicka! Przez to było tak wesoło! O świcie wracaliśmy z Pawłem z karczmy pie szo do naszego domu przez Olczę i Bachledówkę. Kierpce zdjęłam, szkoda mi ich było. Boso szłam po mokrej od rosy trawie. Tatry stały przed nami błękitne, zamglone.



#### ROZDZIAŁ 4

## *Ostatnie lato*

Orlińska — jak ja lubię to mówić, gdy komuś się przedstawiam i wyciągam rękę z obrączką na palcu! Orlińska. Orlińska. Sama nie mogę w to uwierzyć. Panią w domu na Antałówce jestem! Tatuś z Pawłem pięknie dom wykończyli. Jest to willa w stylu zakopiańskim, choć przecie nie tak rozległa jak Dom pod Jedlami czy Koliba\*. Ale

---

\* Dom pod Jedlami został zbudowany w roku 1897 dla Jana Gwalberta Pawlikowskiego według projektu Stanisława Witkiewicza. Uznawany jest za najdoskonalszy przykład stylu zakopiańskiego.

i tak wielka! Do głównego wejścia wchodzi się po kilku schodkach. Z małego przedsionka otwierają się dwuskrzydłowe drzwi z szybkami wieloma na pokoje. Na salony! Ja, Władka Mracielników, salon mam! Są w nim ściany z płazów o jasnym kolorze, takim miodowym. Na ścianach kilimy. Na podłogach chodniczki kolorowe. Półki z książkami, lampy, stół duży drewniany, piec kaflowy, kredens ze szklanymi szybami, a w nim porcelanowy serwis prawdziwy. Jest kanapa, są fotele i nawet stolik na kawę! To wyposażenie piękne całe jest podarunkiem od Pawła rodziców. Ale najbardziej lubię wyjście z salonu przez kolejne dwuskrzydłowe szklane drzwi. Wprost na werandę. I na ogród. Tą werandą przeszkloną nasz dom patrzy na południe, ku rosnącym w ogrodzie jasionom\* i modrzewiom. Ku słońcu i Tatrom. Na werandzie urządzimy kącik z wiklinowym stołem i fotelami jak w Atmie\*\*, choć nasza weranda dużo większa, niż miał pan

---

Koliba to pierwszy dom zaprojektowany przez Stanisława Witkiewicza w stylu zakopiańskim. Zbudowany został w 1893 roku. Znajduje się przy ul. Kościeliskiej w Zakopanem. Obecnie mieści się tam filia Muzeum Tatrzańskiego.

\* Regionalne określenie jesionu.

\*\* Atma to willa, w której w latach 1930–1935 mieszkał w Zakopanem Karol Szymanowski. Obecnie mieści się w niej muzeum poświęcone kompozytorowi.

Karol Szymanowski — na całą długość południowej ściany domu!

Do salonu przylega gabinet Pawła. W nim masywne biurko z drzewa orzechowego, półki z książkami fachowymi, okno z widokiem na zielone. I fotel: duży, skórzany, wygodny. Paweł potrafi pracować tu cały dzień, tylko o kawę woła.

Na parterze mamy też przestronną kuchnię z piecem jak się patrzy. Tu porcelany nie ma, jest bardziej swojsko, po naszymu. Gliniane dzbanki na kwaśne mleko, stół prosty i ławy, na ścianach łyżniki pięknie rzeźbione. I mamy komórkę — i nawet łazienkę!

Sypialnia nasza urządzona jest na górze w zachodnim pokoju. Ściany drewniane w ciepłe dni zaczynają żyć własnym życiem. Nagrzewają się, pachną. O zachodzie słońca rozpalają się na bursztynowo i złoto. Potem zamieniają się w żywy pomarańcz i powoli gasną, zapraszają do snu.

Lubię, że dom żyje.

Są tu jeszcze trzy pokoje. Dla dzieci — jak Bóg da — i dla gości.

Miesiąc miodowy w domu spędziliśmy. Tatuś z Pawłem kończyli wnętrze, ja też swoje słowo miałam, ostatnie! I w ogrodzie pracowałam. Chcę mieć róże i piwonie, i maciejki dużo nasiałam, żeby

w lipcowe wieczory pachniało wokół domu. Ale ten ogród na razie dziki jest, trochę nawet las przypomina, bo drzewa duże przecież mamy. I dobrze.

To był najlepszy miesiąc miodowy, jaki mogliśmy sobie wymarzyć. Nawet na wspinanie w Tatry nam się iść nie chciało, tak bardzo dom chcieliśmy urządzić.

Miesiąc po ślubie Paweł wyjechał na dłużej, dostał pierwsze poważne zlecenie przy budowie mostu za Krakowem. A ja wróciłam do schroniska. Cóż — trzeba pracować, zarabiać, normalne życie!

No więc przyszłam. Do mojej kamiennej doliny, gdzie do snu mi szumią Czarnostawiańska i Dwosta Sikława. Moje schronisko nad Morskim Okiem to jakby królewska komnata, a ściany Mięgoszowieckich, Rysów i Żabiego roztaczające się wokół to ściany pałacu. Tyle że ja do roboty tu przychodzę, a nie wylegiwać się na pierzynach. Ale jak ja lubię tę robotę!

Wstaje się o piątej. Niby pośpiech jest, ale też i czas, żeby kawy się napić, pośmiać się i poplotkować przy pracy. O siódmej śniadania możemy już wydawać, najwięcej wtedy jajecznic schodzi, kielbasy na gorąco z musztardą, chleba, masła i kawy z mlekiem. I tak do dziewiątej. Na śniadanie

przychodzą z pokojów ci, co nocowali w schronisku i wybierają się dalej: na Rysy, Wrota albo do Pięciostawów. Potem możemy dychnąć, ale tylko chwilę. Bo za obieranie gruli trza się brać. Maryna już zupełnie pomidorową nastawia, a Kaśka szarlotki zaczyna wypiekać. A ja te grule ino skrobię. Ale też i latam do jadalni, bo to albo herbaty ktoś woła, albo kwaśnicy żąda o dziesiątej rano, bo wczoraj wódki popił po wycieczce i teraz sycąca kwaśna zupa mu się marzy. I na to wszystko nagle ktoś ledwie żywy przychodzi, bo nogi go obtarły, i pomocy woła. A grule same się nie obiorą! Tymczasem już pierwsza dochodzi i turyści z dołu zaczynają napływać. Zapachy z kuchni ich wołają. Naleśniki świeżo usmażone pachną cytrymonem i ślinę każdy przełyka tak głośno, że aż słyszać!

Tak szybko mijają ostatnie dni lata. W nielicznych wolnych chwilach nawet na wspinaczkę nie mam czasu. Schodzę do gazdówki brata za Bukowiną. Do Zakopanego nie wracam, nie opłaca się. Zaraz, za dwa dni znowu z domu, z Antałówki, do schroniska jechać albo i iść przez Zawrat i Świśtówkę by trzeba było, a toż to czasu nie ma. Paweł i tak swoje mosty za Krakowem buduje, tatuś domu naszego doglądnie. A u brata za Bukowiną moja

pomoc potrzebna, bo on teraz w polu albo w lesie przy karczowaniu całe dnie, Ludwice nie ma kto ugotować, dziewczyna gęby nie ma do kogo otworzyć, całymi dniami sama po lesie gania. A przecież ma już prawie dziesięć lat! No i Róża. Z najlepszą przyjaciółką czasu nie miałam pogadać od ślubu! Dla niej też do brata wolę zejść w chwilach wolnych od roboty w schronisku niż do domu, który stąd daleko i bez Pawła teraz.

Wrzesień nastanie, to i dychnę. Wrócę do Zakopanego. Paweł też będzie już z powrotem. Zaczniemy pierwszą jesień w naszym domu.